

WŁADYSŁAW KWAŚNIEWICZ
(9 VI 1926–16 VIII 2004)

Swojej napisanej niewiele miesięcy przed śmiercią autobiografii Władysław Kwaśniewicz nadał niezbyt może wyszukany, ale niezwykle trafny tytuł: „Przez życie z socjologią pod rękę”. Był związany z tą dyscypliną wyjątkowo długo i mocno bynajmniej nie dlatego tylko, że taką właśnie wybrał sobie profesję i niczego innego nie potrafiłby robić, ale przede wszystkim dlatego, że w byciu socjologiem zobaczył swe najprawdziwsze powołanie i nigdy nie zwątpił w trafność wyboru zawodu, wierząc niezachwianie zarówno w poznawcze możliwości socjologii, jak i w to, że stanie się kiedyś nauką naprawdę stosowaną i pożyteczną.

I nie tylko uprawiał jak każdy z nas własną działkę, lecz również starał się jak najusilniej, by na całym obszarze socjologicznych upraw plony były dobre. Żaden ze znanych mi polskich socjologów nie obserwował równie uważnie i życzliwie niemal wszystkiego, co dzieje się w jego dyscyplinie, i żaden bodaj nie wiedział tak dobrze, co słychać w jej poszczególnych ośrodkach. Był przejęty zarówno tym, co i jak się bada, jak i tym, jak kształci się młodzież. Znał chyba wszystkich i chyba wszyscy Jego znali, bo też nigdy nie żał mu było czasu na spotkania z ludźmi oraz robienie mnóstwa rzeczy, których nie potrzebowałby robić, gdyby troszczył się wyłącznie o własne sprawy. Był człowiekiem rzadkiej koleżeńskości i uczynności, czego sam niejednokrotnie doświadczyłem nawet w tych dawnych czasach, kiedy nie łączyło nas nic poza tym, że obaj byliśmy socjologami. Pomaganie innym było u niego wręcz odruchowe.

Jakkolwiek ocenia się Jego własną twórczość, daleką z pewnością od aktualnych mód intelektualnych i szczególnego metodologicznego wyrafinowania, niepodobna wątpić, że polska socjologia zawdzięcza mu niemało. Najtrwalszy ślad, jaki pozostawił, to z pewnością kilkutomowa *Encyklopedia socjologii*, której publikacja zbliża się właśnie do szczęśliwego, miejmy nadzieję, końca. To przedsięwzięcie najpewniej nigdy nie doszłoby do skutku, gdyby nie Jego gigantyczna zaiste i, w gruncie rzeczy, bezinteresowna praca organizatorska

i redaktorska. Był również, jak wiadomo, autorem pomysłu, ale o pomysły o nas łatwo, trudno natomiast o ich wytrwałą i konsekwentną realizację. Trwałym śladem jest Instytut Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego był organizatorem i wieloletnim dyrektorem. Trwałymi śladami są istniejące do dzisiaj socjologiczne czasopisma, które współredagował, przyczyniając się mniej lub bardziej do ukształtowania ich naukowego oblicza. Wydaje się zresztą, że niełatwo byłoby znaleźć takie polskie czasopismo socjologiczne, z którego redagowaniem nie miał nigdy nic wspólnego.

Są też niezliczone ślady Jego działalności nie mniej zapewne trwałe, ale trudniejsze już dziś do zauważenia, mianowicie te, które pozostawił, broniąc na rozmaitych forach swojego rozumienia socjologii oraz — nieporównanie żarliwiej — interesów tej dyscypliny, niejednokrotnie przecież zagrożonych. Albo pisząc rozliczne opinie i recenzje, których — zwłaszcza jako członkowi Centralnej Komisji ds. Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych przez lat bodaj dwadzieścia — zdarzyło mu się przygotować niemało. Należałem do tej komisji przez dwie czy trzy kadencje, wiem zatem najlepiej, iż były to z reguły opinie solidnie opracowane i sprawiedliwe.

Ta wielostronna „społeczna działalność naukowa”, by posłużyć się określeniem zastosowanym przez wydawców książki wydanej na Jego siedemdziesięciolecie, jest z natury rzeczy znana najszerzej i najlepiej. Mniej znana jest jego twórczość naukowa, jeszcze mniej Jego biografia.

Ani to miejsce, ani pora, aby ową twórczość szerzej omawiać. Jest to zresztą zadanie raczej dla Jego licznych uczniów, ponieważ ja mógłbym jako tako kompetentnie omówić tylko Jego niemały wkład do historii polskiej socjologii, którą interesował się stosunkowo długo i systematycznie, lub dość ogólnikowo wskazać na tę niewątpliwą w moich oczach zasługę, jaką była obrona historycznego punktu widzenia w socjologii, podjęta w czasach, kiedy nie było w tym jeszcze nic oczywistego. Jedynie na dwie rzeczy zwrócę więc uwagę. Po pierwsze, na to, że Kwaśniewiczowi z gruntu obce było wszelkie doktrynerstwo: był zorientowany nade wszystko na fakty i najzwyczajniej nie przychodziło mu do głowy, że tylko on (lub jego zakon) mógłby mieć w jakiejś sprawie absolutną słuszność. Po drugie, Jego niewątpliwym mistrzem był Kazimierz Dobrowolski i żaden zapewne z wybitnych polskich socjologów nie miał ucznia tak dożgonnie wiernego. Zawsze zdawałem sobie z tego sprawę, zwłaszcza zaś wtedy, gdy oddawał się w rozmowach wspomnieniom młodości, opowiadając, jak to w Jego wypadku stosunek asystenta do profesora był w istocie stosunkiem terminatora do majstra starej daty, lub gdy obserwowałem Jego niezliczone powroty do teorii procesów żywiołowych, która niemal do ostatniej chwili nie dawała mu spokoju.

Dopiero podczas lektury autobiografii uświadomiłem sobie wszakże w pełni, jak silny i wielostronny był wpływ Dobrowolskiego. Określił on nie tylko zasadniczy kierunek zainteresowań badawczych Kwaśniewicza (sytuujących się długo na pograniczu socjologii i etnografii) i podstawowe założenia

teoretyczne (programowo, rzecz można, eklektyczne), lecz w jakimś stopniu również opcje ideowe — tak istotne z uwagi na to, że w polu widzenia znajdowała się w tym wypadku niezmiennie socjologia jako narzędzie poprawiania świata.

Mówiąc to, zbliżyłem się do kwestii biografii. Zasluguje ona na chwilę namysłu, gdyż stanowi dobrą ilustrację dylematów sporej części polskiej inteligencji, a zwłaszcza tego wymierającego teraz pokolenia, do którego należał Kwaśniewicz. Piszę o nich bez skrupowania, ponieważ sam o tym nierzadko mówił, a w autobiografii poświęcił im sporo stron, usiłując na przykład wyjaśnić, dlaczego wstąpił do PZPR i dlaczego z niej nie wystąpił (a nawet przewodził zespołowi partyjnych socjologów przez parę niewesołych lat osiemdziesiątych). Był to dla Niego (żołnierza ZWZ, a potem AK, który z ujawnieniem się czekał w ukryciu do 1947 r.) i musiał być wielki problem. W grę nie wchodził z pewnością żaden z dwóch częstych motywów: ani zawrót głowy od ideologii, ani chęć zrobienia szybkiej kariery. Na partyjność zdecydował się zresztą na dwa lata przed czterdziestką, to jest wtedy, gdy sporo już o życiu wiedział, mając za sobą koszmar lat stalinizmu, ideologia traciła już swą moc, a jego przyszłość była już z grubsza określona. Nic nie wskazuje na to, by przynależność do partii w czymkolwiek ułatwiła mu życie, dała bowiem raczej nowe obowiązki niż przywileje (warto mimochodem odnotować, że etat profesora zwyczajnego Uniwersytetu Jagiellońskiego dostał dopiero na krótko przed emeryturą). Co prawda, dla społecznika, jakim z temperamentu był Kwaśniewicz, przywilejem mogła być odrobinę większa możliwość publicznego działania. Zdecydował ostatecznie pogląd, że w Polsce jest i będzie tak, jak jest, w związku z tym trzeba po prostu robić to, co z pożytkiem i sensem w istniejących warunkach robić można, łagodząc w miarę możliwości „ostre kanty”. Krótko mówiąc, klasyczny program pracy organicznej, którym w Polsce wypada pogardzać. Przypadek Kwaśniewicza utwierdza mnie w przekonaniu, że niekoniecznie prowadził on na manowce. W każdym razie oceniając ludzi, dobrze jest mieć na oku całość, a nie te fragmenty, które akurat nam się nie podobają.

Jerzy Szacki